

## Okres okupacji

1.09.1939 R Wybuchła II- Wojna Światowa. Mieszkaliśmy wtedy na ulicy Chłodnej Nr 15.róg ulicy Waliców w pięknej kamienicy, w której mieściła się prywatna, żeńska szkoła - Gimnazjum i Liceum pp. Reginy Gaczeńskiej i Eweliny Kacprowskiej. W tej szkole mój ojciec był woźnym i z tego tytułu zajmowaliśmy służbowe mieszkanie. Zarządzono mobilizację i mój ojciec został powołany do wojska. Moją szkołę, do której chodziłem do wybuchu wojny -( przy ul. Chłodnej 11/13 róg Waliców ) zajęli Niemcy na koszary dla swojego wojska. Miałem więc jeden rok stracony. Od września 1940 r Rozpocząłem naukę w 6 klasie w Szkole Podstawowej Nr 100 przy ul. Młynarskiej ( za Zajezdnią Tramwajową ). W 6 klasie wychowawczynią naszą była p. Kazimiera Bajówna. Od września 1941 r. chodziłem do 7 klasy, w której wychowawczynią naszą została p. Janina Górnicka. Obie nasze wychowawczynie były instruktorkami harcerskimi jeszcze z przed wojny. Pewnego razu p. Janka Górnicka poprosiła mnie i jeszcze kilku moich kolegów czy nie zechcielibyśmy pomóc jej przewieźć trochę kartofli do domu. Dała nam klucze do swojego mieszkania i adres ( mieszkała na ul. Ludwiki ? ). Kiedy zawieźliśmy te ziemniaki, postanowiliśmy zażartować sobie schowaliśmy worek z ziemniakami gdzieś głęboko pod tapczanem a na widocznym miejscu zostawiliśmy kartkę, że była łapanka na mieście i kartofle zabrali Niemcy? Na drugi dzień nasza wychowawczynie zaprosiła nas na placki kartoflane. Kiedy przyszliśmy na umówioną godzinę były już u niej nasze koleżanki z klasy, które obierały, tarły, smażyły już te obiecane placki? Po zjedzeniu tych placków p. Janka zorganizowała nam różne zabawy towarzyskie, w starego kawalera, głuchy telefon, trochę pośpiewaliśmy, tak że wieczór spędziliśmy b. przyjemnie i tak to się zaczęło. Początkowo nasze spotkania u niej tylko charakter towarzyski, ale w niedługim czasie zaproponowała nam uczestnictwo w Tajnym Harcerstwie. Naturalnie, że wszyscy z nas z wielkim zapałem wyraziliśmy zgodę. Powstał zastęp chłopców. Naszą zastępową została Miecia Maliszewska, dziewczyna b. fajna imponowała nam bo świetnie pływała i nawet próbowaliśmy z nią się siłować.( Ze strzępów informacji jakie posiadam w październiku 1942r była maturzystką. Prawdopodobnie zginęła z całą rodziną w pierwszych dniach powstania w swoim domu przy ul. Redutowej 27.01.2001R.HR). W grupie tej oprócz mnie byli: Mirek Malinowski, Stefan Mączyński, Andrzej Wojciechowski, Janek Zalewski i Jurek Zbroja. We wrześniu /42 r. na zbiórce Miecia powiadomiła nas o naszym w najbliższym czasie rozstaniu W październiku 1942 r., po uroczystej konspiracyjnej, przysiędze złożonej na ręce Tadeusza Wiśniewskiego „ Pantery” – członka nowo powstałej Komendy Zawiszy, najmłodszej grupy harcerskiej wchodzącej w skład Szarych Szeregów. Rozpoczął się dla nas nowy etap już bardziej zorganizowanego życia konspiracyjnego. Nasze koleżanki z klasy wstąpiły do żeńskiej drużyny harcerskiej. Wśród nich były: Janina i Barbara Jemiołkowskie, Irena Matysiakówna, Zofia Riedelówna, Adrianna Wodnicka. Wszystkie brały udział w Powstaniu Warszawskim : Janina Jemiołkowska, Irena Matysiakówna, Zofia Riedelówna i Adrianna Wodnicka jako sanitariuszki w harcerskim patrolu sanitarnym zostały zamordowane w dniu 5 sierpnia 1944 r. o godz. 18:00 w szpitalu św. Łazarza przy ul Wolskiej 18 w grupie 11 harcerek. Zamordowano wraz z nimi wszystkich lekarzy, wszystkich rannych powstańców, i na samym końcu 10 siostr zakonnych, które zabijano pojedynczo ze słowami modlitwy na ustach - „pod Twoją obronę”. Wszystkie harcerki pochowane zostały na Cmentarzu Wojskowym Powązki kwatery 26 B. Barbara Jemiołkowska pseudonim „ Ara” urodzona 28.09.1929R. Harcerka WZDH Nr 100, (Warszawska Żeńska Drużyna Harcerska) przeszkolona w służbie sanitarnej i łączności, w Powstaniu Warszawskim od 1 sierpnia 1944r. Łączniczka pierwszej linii batalionu AK „Chrobry I „, Zginęła podczas nalotu na Pasaż Simonsa na Starym Mieście, gdzie batalion kwaterował. Odznaczona dwukrotnie Krzyżem Walecznych, po raz drugi pośmiertnie. Pochowana na Cmentarzu Wojskowym Powązki kwatery 27 A. (Szczegółowy opis znajdziesz w książce Lucjana Fajera pt. „Żołnierze Starówki” str. 320 - 360). Muszę dodać, że wszystkie moje koleżanki po ukończeniu 7 klasy Szkoły Podstawowej Nr 100 zostały uczennicami Tajnego Gimnazjum pań Reginy Gaczeńskiej i Eweliny Kacprowskiej i w ich biogramie wyczytałem, że były uczennicami III klasy.[Do dziś nie zdawałem sobie sprawy, że szkoła, w której do wybuchu wojny, woźnym był mój tata, zamknięta przez władze okupacyjne.( tak jak wszystkie średnie i wyższe) co przyczyniło się do samobójczej śmierci mojego ojca ..11.1941R. Działała w podziemiu i moje koleżanki były jej uczennicami. A ja z moją matką i bratem z wszystkimi tymi ławkami i całym wyposażeniem tej szkoły mieszkaliśmy dosłownie przez ścianę na ul. Żelaznej 85 gdzie musieliśmy się przeprowadzić z ul. Chłodnej, kiedy powstało duże i małe „Getto” Dom ten w czasie powstania został spalony. 26.01.2001R.HR]. Po ukończeniu VII klasy Szkoły Podstawowej Nr 100, która w międzyczasie została przeniesiona z ul Młynarskiej do budynku mieszkalnego przy ul. Chłodnej 68 (na rogu placu Kercelego ), ja i część moich kolegów zapisaliśmy się do II Miejskiej Szkoły Mechanicznej w Warszawie mieszczącej się początkowo na ul. Sandomierskiej 12 na Mokotowie. We

wrzeźniu 1942 r. nasz zastęp przejął członek Komendy Zawiszy „Pantera” Rozwinięty już w drużynę. Drużynowym został Tadeusz Podkański „Longin” (mieszkał na ul. Bema). Nasza drużyna weszła w skład większego ugrupowania, był nim Rój „Giewont”, którego pierwszym komendantem był „Longin”. Rój wszedł w skład Proporca „Giermkowie Zawiszy”, dowodzonego przez „Panterę”. Od jesieni 1943 r. komendantem roju „Giewont” został Teodor Spychalski - „Tedzik”. W tym czasie z zastępu, którego byłem członkiem powstała drużyna a z drużyny, w której byliśmy zastępowymi, powstało większe zgrupowanie - Rój (odpowiednik hufca). Rozpoczął się nabór chłopców. Przy pomocy naszych byłych nauczycielek zwerbowałem kilkunastu młodszych kolegów z szkoły Nr 100 i kolegów z naszej szkoły zawodowej. Do naszych zawiszackich szeregów zostały też zwerbowane dwa patrole z uczniów szkoły powszechnej prowadzonej przez siostry Goldman (przy ul. Filtrowej Nr 62) przez „Longina”, który też uczył się w tajnym gimnazjum sióstr Goldman. Drużyna a następnie rój przyjęła kryptonim „Giewont”. A my drużynowi, przyjęliśmy pseudonimy bohaterów Trylogii Henryka Sienkiewicza. Ja - „Babinicz”, Jurek Zbroja - „Charlamp”, Stefan Mączyński - „Podbipięta”, Andrzej Wojciechowski - „Czarny”. Tylko Janek Zalewski z przekory wybrał sobie pseudonim - „Ślepowroński”. Drużyny te istniały w tych składach do końca 1943 r. gdyż później część starszych chłopców przeszła do „BS”. W patrolach rozpoczęło się intensywne szkolenie młodszych kolegów w przede wszystkim w zakresie zasad konspiracji. Przechodziliśmy szkolenie z musztry, uczyliśmy się terenoznawstwa, alfabetu Morsa, samarytanki (udzielania I pomocy), pionierka czyli umiejętność budowy szałasów, kuchni polowej i wiązania różnych węzłów. Oprócz tradycyjnego szkolenia harcerskiego poznawaliśmy niemieckie stopnie wojskowe uczyliśmy się lokalizowania obiektów wojskowych i ich stacjonowania. Na tym biwaku zdobywaliśmy kilka sprawności harcerskich m. in. Trapera - wybudowaliśmy dwa szałasów z wikliny. Ja z Jurkiem Zbroją zdobyliśmy sprawność kucharza. Ugotowaliśmy zupę „Babchar” od pierwszych liter naszych pseudonimów - „BABinicz i Charlamp. Na drugie były knedle z jabłkami. Wiem tylko, że było ich b. dużo chyba około 120 szt. Wpadł też do nas na krótko mój brat Jurek uwidoczony na zdjęciu jak z Jurkiem Zbroją mieszają naszą zupę w garnku zawieszonym nad ogniskiem. W trakcie powstawania nowych grup akty przysięgi i przyrzeczenia harcerskiego odbywały się dość często. Należy przypomnieć dwie i związane z nimi uroczystości. W dniu 21 listopada 1943r na cmentarzu w Michalinie na konspiracyjnej koncentracji hufca (Raju?) „Giewont” gdzie odbierał przyrzeczenie harcerskie na sztandar „Giermków Zawiszy”, Phm. „Pantera” Z tej to właśnie uroczystości zachowały się fotografie. 26 Marca 1944r. na konspiracyjnej koncentracji hufca „Giewont” w Fabryce Narzędzi J. Dziewulskiego przy ul. Kolejowej Nr 51 Odbierał przyrzeczenie harcerskie kmtd Raju Phm. „Tedzik”. Od początku 1944r. Przeszedłem do grupy dla starszych chłopców o kryptonimie BS (Bojowe Szkoły) Zostałem drużynowym, moim przybocznym został Stefan Mączyński pseudonim „Podbipięta”, na co dzień wołaliśmy na niego po prostu „Mongol”. W biogramie poległych odnalazłem tylko takie dane: Stefan Mączyński - „Podbipięta”, lat 17. Uczeń. Od jesieni 1942r. zastępowy w drużynie „Giewont” w Zawiszy na Woli - od wiosny 1944r. w BS-ach. Podczas Powstania Warszawskiego w 1 kompanii batalionu „Parasol” - Poległ 27 sierpnia 1944r. w Pałacu Krasińskich (szczegółowy opis w książce Lucjana Fajera pt. „Żołnierze Starówki”, str. 320 - 360). Wiele szczegółów z tamtego okresu po prostu zatarło mi się w pamięci. Wiem, że przechodziliśmy przeszkolenie podoficerskie w ramach BS o kryptonimie „Wiarus”. Na jakimś szkoleniu z zakresu uzbrojenia mieliśmy jakiś pistolet jakiś chyba belgijski „FN”. Na tej zbiórce rozbieraliśmy go na części, poznawaliśmy jego budowę i na podstawie tej broni ogólne zasady działania broni palnej. Po zbiórce ja z jeszcze jednym druhem miałem odnieść broń do jakiegoś punktu kontaktowego. Wiem, że z wielką dumą i pewną dozą emocji niosłem ulicami Warszawy, Żelazną gdzieś w okolicy 6 Sierpnia ten maleńki, naładowany, odbezpieczony pistolet mijaliśmy posterunki przed jednostkami wojskowymi, patrolami żandarmerii i żołnierzami. Świadomość że mam tę broń gotową do strzału sprawiała, że w razie czego nie jestem bezbronny nie dam się im ująć bezkarnie - będę strzelał! Sprawilo mi to dużo zadowolenia, przysparzało wiele emocji i pamiętam o tym do dziś. Nie brałem udziału w żadnej większej akcji. Cała moja działalność ograniczała się do przenoszenia tajnej prasy, pisanie kredą po murach antyniemieckich hasła, rozbijaniu szyb w lokalach niemieckich. Mieliśmy zamiar usunąć niemiecki napis na gmachu „Zachęty”, że to jest „Deutsches Kulturhaus”. Oglądaliśmy ten gmach ze wszystkich stron, stały nawet w tym czasie przy tym gmachu wysokie rusztowania, ale w najbliższym otoczeniu tyle było posterunków, żandarmerii, że wydawało nam się wprost niepodobieństwem i skuć tę napisy bez zwrócenia na siebie uwagi w dzień a tym bardziej w nocy. Nic z tego nie wyszło. Zrezygnowaliśmy. Na kilka dni przed wybuchem powstania rozlepialiśmy, afisze, obwieszczenia, że w chwili wybuchu powstania władzę w mieście przejmują instytucje państwa Polskiego i każdy obywatel zobowiązany jest podporządkować się nowo powołanym władzom.

## **Powstanie Warszawskie**

Mój udział w Powstaniu Warszawskim też był bardzo krótki. Po nieudanych próbach nawiązania łączności z moim bezpośrednim dowództwem i z moimi podkomendnymi, po niepowodzeniu dołączenia do jakiegoś innego oddziału (brak broni). Cała moja walka w powstaniu to: budowanie barykad na rogu Żelaznej i Ogrodowej, obrzucanie butelkami z benzyną czołgów „Panter” idących z Woli przy zbiegu ul. Wroniej i Chłodnej - bez powodzenia, czołgi rozniosły potężną barykadę, nasze butelki z benzyną nawet jeżeli trafiły celu to nie robiły im większej szkody - popaliły się trochę na pancerzu czołgu i po jakimś czasie pewnie zgasty. Nie mieliśmy do dyspozycji: granatów, pancerników, miotaczy płomieni, min przeciwczołgowych. Jedynym wyraźnym śladem, że jednak toczyła się tam walka, to był fragment mózgu na ścianie muru i plama krwi, która pozostała po jednym z młodocianych powstańców. Bieganiu po pierwsze zrzuty na spadochronach jakie dostarczyli nam nasi piloci. Próbie gaszenia płonących domów przy ul. Żelaznej. Brałem też udział w eskorcie grupy jeńców niemieckich. Był to dość silnie obsadzony punkt oporu około 20 ludzi b. dobrze uzbrojony. Znajdował się on w cukierni „Zomera” na rogu Chłodnej i Żelaznej, ostrzeliwali się oni z okien na 1 piętrze. Początkowe pertraktacje przez naszą grupę nie przynosiły pomyślnego rezultatu. Prowadził te rozmowy jakiś oficer rezerwy, który co prawda miał jakiś pistolet za pasem, ale jak mówili podobno nie miał do niego amunicji. Przy nim stało 2 roślących powstańców z opaskami na rękawach, ale mieli tylko 2 granaty. Nasz oficer świetnie mówił po niemiecku, straszył ich ale nie wiele to dawało, bo był w tej grupie jeden SS-man, a on był nieprzejednany. Dopiero potężny wybuch spowodowany (podobno) wysadzeniem w powietrze kompleksu szkół zamienionych na koszary (róg Chłodnej i Waleńców, do której chodziłem przed wojną do Podstawówki) wystraszył ich tak bardzo, że zeszli do piwnicy i poddali się. Po rozbrojeniu ich przez naszych, prowadziłem całą grupę piwnicami (wyrąbanymi w murach przejściami) do domu PPS na ul. Ogrodowej. Byłem bez broni miałem tylko latarkę elektryczną. Szło za mną 20 „szkopów” zakurzonych tyńkiem, wielu z nich rannych ślaniających się na nogach, podtrzymywanych przez kolegów, pokrwawionych. Ostatni odcinek drogi musieli przejść przez mieszkanie na parterze naszego domu i przez otwarte okno, poprzez wielką usypaną górę koksu, dotrzeć podwórzem do piwnic domu PPS, w których mieli być zatrzymani. Niemcy najpierw poprosili i trochę wody do picia i do umycia się, potem o jakieś środki opatrunkowe. Zajęły się nimi nasze panie - dostali wszystko - nakarmiły i dały do co mogły do picia. Ich broń zasilila nasze oddziały Mój brat Jurek też dostał jakiś przedpotopowy karabin (oddał go ktoś z oddziału i zafasował lepszy po Niemcu), do którego naboje trzeba było wsuwać po jednym, bo nie miał żadnego podajnika. Z tą bronią i z tym oddziałem poszedł pewnie na starówkę. Już go więcej nie widziałem. ( Z informacji nadesłanej przez PCK wynika, że po powstaniu został wywieziony do obozu Gross Rozen Nr więźnia 40530 ; 15.02.1945R.przesłany został do obozu koncentracyjnego Flossenbug Komando Leitmeritz Nr więźnia 88297, zmarł 23.02.1945R. Natomiast mnie, po nagłym opuszczeniu naszego rejonu przez oddziały powstańcze 7 albo 8 sierpnia zagarnęły mnie oddziały pacyfikacyjne SS. i Ukraińców z Oddziałów „RONA „ ( Russkaja Oswoboditielnaja Narodnaja Armia ) . Mieliśmy dużo szczęścia, bo, po pierwszym impecie, kiedy wszystkich bez pardonu mordowali a domy palili, nas po wyprowadzeniu z domu zagoniono do rozbierania barykad i zasypywania rowów przeciwczołgowych w rejonie Leszno róg Wroniej. Trwała wtedy jeszcze wielka strzelanina czołgi, za którymi kryli się żołnierze, ostrzeliwały rejon ulicy Żytnej. Na noc zaprowadzono nas do kościoła św. Stanisława. Też miałem wielkie szczęście, tej nocy nie byłem wzięty na rozwałkę.

Z kościoła poprzez Pruszków, wywieziony zostałem do obozu przejściowego w Breslau - Burgweide. A z tamtego obozu do Obozu Pracy w Gross Wartenberg - Dyhrenhof. Przebywając dosłownie kilka godzin w obozie przejściowym w Breslau widziałem się przez siatkę ogrodzenia z p. Janką Górnicką nie rozmawiałem z nią tylko kiwnęliśmy sobie ręką. Wynika z tego, że i ona w pierwszych dniach powstania wyszła z tego piekła cała i zdrowa. W obozie przebywała grupa około 200 mężczyzn wywiezionych z powstania w Warszawie. Był w naszej grupie jakiś znany tancerz baletu, było chyba 2 właściciele barów czy restauracji, był starszy tata z 2 czy nawet może 3 synami w różnym wieku, ale starszymi ode mnie. Różni ludzie, w różnym wieku o różnym wykształceniu. Spaliśmy w barakach, pokotem na słomie. Wcześniej rano o 5:00, dostawaliśmy po 1 warząchwę „melzupy”, (rozrobionej mąki zagotowanej z wodą). Okropny „kapo”, który był przez wszystkich znienawidzony, dawał tę zupę po uważaniu, jak chciał to zagarnął tą warząchwią głębiej do samego dna i wtedy wlewał do podstawionej miski trochę grudek nierozpuszczonej mąki i zupa była bardziej pożywna. A jak miał na kogoś oko, to zanurzał łyżkę z wierzchu i dostawałeś trochę rzadkiej lury. Potem był wymarsz do pracy. Nasza praca polegała na kopaniu rowów przeciwczołgowych głębokości 4 metrów. Do pracy musieliśmy chodzić kilka kilometrów. Koniec sierpnia, wrzesień nawet w październiku nie było jeszcze tak źle. Nasi wachmani, którzy z karabinami pilnowali nas przy pracy pozwalali mi gotować w puszcze po konserwach, na małym ognisku najpierw cukrowy burak wyrwany po drodze, jakiś kartofel, a potem nawet zupkę w proszku kupioną w miasteczku. Nie wiem dlaczego nie zabraniali mi tego ? Nikt inny poza mną tego nie próbował robić. Wydaje mi się, że dopiero w tych warunkach przydały mi się w praktyce zdobyte na biwaku w Wiklinkach sprawności, trapera i kucharza. Gorzej było gdy przyszła

jesień i zaczęła nadchodzić zima. Rowy które kopaliśmy zaczęła zalewać woda, pomimo pomp, które mieliśmy do dyspozycji, musieliśmy brodzić w błocie, mokra ziemia czasem glina przyklejała się szpadli i łopat. Później dokuczał nam śnieg i mróz. Wtedy wychodząc do pracy owijaliśmy się kocami (koc w trójkąt, na głowę skrzyżowany na piersiach i zawiązany z tyłu). Wracaliśmy do baraków wieczorem. Wtedy dostawaliśmy miskę ciepłej zupy i rozpoczynał się ceremoniał dzielenia przydziałowego chleba, czasem symbolicznej porcji margaryny czy też jakiejś marmolady z marchwi lub buraków, tymi porcjami chleba, które otrzymywaliśmy wieczorem, które były skrupulatnie mierzone i krojone, przez wybranego przez nas starszego baraku. Dostawaliśmy też ileś papierosów dziennie. I z tymi to przydziałami wiąże się sprawa, z której teraz nie jestem dumny, a raczej się bardzo wstydzę. Pracę mieliśmy bardzo ciężką, w trudnych warunkach. Wyżywienie niedostateczne. Ale byli nałogowi palacze, którym nie wystarczała ilość papierosów z przydziału i za jakąś ilość papierosów oddawali swoją porcję chleba. Ja i jeszcze jeden z moich kolegów uprawialiśmy ten niecny proceder. Jest mi z tego powodu teraz b. Wstyd. Dziś wiem, że mój wujek Władek (brat mojej mamy) nałogowy palacz zginął, wywieziony po powstaniu, w obozie. Dostaliśmy zawiadomienie z Czerwonego Krzyża, że Władysław Bożek ur.26.04.1902 r w Lelowie, był więźniem obozu w Mauthausen Nr więźnia 93200 gdzie zmarł 25.04.1945 r. Oprócz, chłodu, deszczów, mrozu nie było warunków do kąpieli, żeby wyprać brudną bieliznę i wysuszyć przemoknięte buty czy ubranie. Dlatego też, ponieważ nasz obóz nie był tak strzeżony, jak obozy koncentracyjne zdarzały się od czasu do czasu ucieczki. Przed Bożym Narodzeniem. Postanowiliśmy z moim kolegą Bogdanem Godlewskim też uciec z tego obozu na święta do domu. Wyrysowaliśmy sobie z jakieś gazety mapkę najbliższych miasteczek i namówiłem go, że nie pójdziemy jak nasi poprzednicy na Wieluń, bo ostatnio tam z naszych kogoś złapali. Tylko na Kluczbork i Częstochowę. Wydawało mi się, że tu byłoby nam bliżej do Lelowa a tam już moja rodzina na pewno nam pomoże. Wyszliśmy wieczorem, po powrocie z pracy, był dość duży mróz i sporo nasypało śniegu. W niektórych miasteczkach mieliśmy duże kłopoty, w którym kierunku iść. Jesteśmy na rynku, noc, na środku rynku stoi drogowszak ale zasypany śniegiem, tak że nie wiadomo w jakim kierunku mamy iść. Pewnej odległości posterunek żandarmerii. Musieliśmy oczyścić ze śniegu strzałki drogowszaka, żeby odczytać nazwę miasta do którego zmierzaliśmy. W dalszej drodze zauważyliśmy przed nami oświetlony posterunek żandarmerii. Ponieważ z daleka było widać kręcących się ludzi postanowiliśmy go ominąć, brnąc przez zaspy w śniegu. Im bardziej odbijaliśmy w prawo zabudowania wioski ciągnęły się. Postanowiliśmy przedrzeć się przez opłotki i dojść w końcu do tej drogi ominąwszy w końcu ten posterunek. Była noc. Księżyc tylko świecił oświetlając nam drogę. Psy chyba z całej wioski ujadają, że umarli chyba powstały z grobu, żeby zobaczyć co się dzieje. Okazało się, że ta nasza wioska to ulicówka skracająca zaraz za posterunkiem w prawo. Umordowani, spoceni pomimo mrozu, oszronieni - para wodna z naszego oddechu zamarała na naszych ubraniach - doszliśmy przed świtem do wioski, gdzie w oknach już było światło, a z kominów unosił się dym. Bardzo byliśmy zmęczeni, głodni i zziębnięci. Mijając jakiegoś młodego mężczyznę, który pędził parę wołów zapytaliśmy czy moglibyśmy tu gdzieś wejść i rozgrzać się ? On odpowiedział, że w tej wiosce to raczej nie, gdybyśmy doszli do następnej, to tam już byłibyśmy bezpieczniejsi. Ale byliśmy już bardzo zmęczeni. W tę noc jak później wyliczyliśmy pokonałszy około 60 km Weszliśmy do najbliższej chaty. Poprosiliśmy czy nie moglibyśmy się nieco rozgrzać. Mieszkali w tym domu Polacy, przynajmniej mówili po polsku. Jak weszliśmy, była w tym domu sąsiadka, która zaraz zabrała mojego kolegę Bogdana do siebie. Na kominie palił się ogień, pachniało kawą. Dostałem zaraz kromkę świeżego chleba, kubek gorącej kawy, ciepło kubka rozgrzewało mi zmarznięte ręce, tajałem. Wtem wpada Bogdan i wrzeszczy - „, Ta k...a posłała po Landwachę ! Wiejemy ! „, Ruszyliśmy drogą w stronę lasu, za którym miała już być niedaleko ta wioska. Jak byliśmy już gdzieś w połowie drogi od skraju lasu, do którego zmierzaliśmy, pojawiło się 2 z landwaczy na rowerach i zaczęli krzyczeć: „Halt! Halt!“. Ponieważ nie zatrzymaliśmy się i jak zające na przełaj, przez pole gnaliśmy aby do lasu. Ci dwaj z landwaczy zeszli z rowerów, zdjęli swoje karabinki i zaczęli do nas strzelać. A my nic, nie zwalniamy, aby do lasu. Widząc, że nas nie trafiają wsiedli na rowery i jadąc drogą dopadli nas akurat na samym skraju lasu. Byliśmy okropnie zmęczeni, las był na nasze nieszczęście bardzo rzadki. Bogdan od razu dostał pięścią w twarz i zalał się krwią z rozbitego nosa. Zaprowadzili nas do ich jakiegoś aresztu. W tym areszcie było ciepło, dobre prycze, dostaliśmy po dużej misce gorącej zupy. W celi tego aresztu spędziliśmy noc. Jak się później dowiedzieliśmy za każdego złapanego zbiega z obozu dostawali po 2 litry wódki. Takie to mam wspomnienia ze spotkania z Polakami w czasie okupacji na Opolszczyźnie. Na drugi dzień zostaliśmy, skuci kajdankami, przewiezieni pociągiem osobowym, podmiejskim, pełnym dojeżdżających ludzi do pracy, do miasta Rozenberg. Tam przesłuchiwało nas Gestapo. Oczekując na przesłuchanie staliśmy pod ścianą z podniesionymi do góry rękami. Z za ściany rozlegał się krzyk bitego człowieka. Muszę przyznać, że miałem wielkiego „, pietra“. Gestapowiec, który nas przesłuchiwał mówił po polsku - zapytał: Czemuś ta uciekali ? - Ja mu odpowiedziałem, że do mamy na święta. Byłem wtedy jeszcze b. drobny i mało ważyłem. Nie wiem czy go to przekonało, ale spisał tylko protokół i kazał nas

zaprowadzić do więzienia. Obyło się bez bicia. Byliśmy z takiego obrotu sprawy bardzo zadowoleni. Więzienie w Rozenbergu, do którego nas zaprowadzono było bardzo stare. Okalał go wysoki mur. Wchodziło się do niego przez dwie bardzo wysokie metalowe bramy. Cele były ogrzewane przez piece znajdujące się w celach ale paliło się w tych piecach z korytarza. W celi, do której nas zaprowadzono, było już 3 więźniów jeden za kradzież gęsi, drugi jakiś obieżyświat bez stałego miejsca zamieszkania, lubił śpiewać : nauczył nas śpiewać Katiusze, Galinkę i wiele innych rosyjskich piosenek, w tym czasie jeszcze przez nas nieznanych. Daliśmy mu ksywkę „Kanarek”. Trzeci to był jakiś partyzant. Siedział najdłużej jego ciało już puchło nie wiem dlaczego. Ponieważ były tylko 3 prycze my z Bogdanem spaliliśmy na podłodze. Taki w tym więzieniu był zwyczaj, że do naszej celi przynoszono ziemniaki i warzywa a my je obieraliśmy. Każdy z 3 naszych współwięźniów zabierał sobie kilka ziemniaków chował je w pryczy a kiedy już była pewność że już można, nadziewał te ziemniaki na długi drut i wieszali w piecu. Na górze pieca były 2 szerokie grube luźne płyty, jak się je podniosło to można było powiesić w piecu dostateczną ilość ziemniaków. Najczęściej te ziemniaki na dole były nadmiernie spalone, a te z góry niedopieczone. Myśmy z Bogdanem obieraliśmy te ziemniaki ze skóry, odrywaliśmy zwęglone i niedopieczone części. Nasz partyzant zjadał całe ziemniaki. Zabierano nas też do pracy na mieście. Do rozładunku węgla z wagonów na bocznicę kolejowej. Do budowy umocnień przeciw czołgowych na mieście ( wkopywaliśmy jakieś grube betonowe słupy - skośnie ). Idąc w grupie więźniów, wypatrywaliśmy niedopałków papierosów, które zbieraliśmy skrzętnie dla naszego „ partyzanta”. Znaleźliśmy też na bocznicę kolejowej kawałki drutu potrzebne nam do pieczenia ziemniaków. Na miasto do pracy chodziliśmy w więziennych ubraniach a na głowach mieliśmy charakterystyczne więzienne mycki, gdy nas prowadzono w eskorcie uzbrojonych strażników, zawsze nasz przemarsz wzbudzał duże zainteresowanie przechodniów. Z pobytu w tym więzieniu zapamiętałem jeszcze, że co wieczór „iskałem się” i zabijałem 30 wszy. Nie wszyscy to robili, np. Bogdan twierdził, że szkoda na to czasu, bo tym sposobem i tak się tego draństwa nie wypleni. Ja przynajmniej próbowałem. Zapamiętałem też śmierdzący kibel, do którego się załatwialiśmy i wytarte ślady stóp na deskach podłogi w celi od ciągłego chodzenia (4 kroki). W więzieniu w Rozenbergu przesiedzieliśmy 2 tygodnie. Ponieważ zbliżał się front, przyjechał sam nasz Lagerfirer i zabrał nas z powrotem do obozu w Gross Wartenberg. Na dobry wieczór, z kolei ja tym razem dostałem w twarz od zastępcy lagerfirera jakiegoś Włocha - „makaroniarza” i wróciliśmy do baraku ale już nie na prycze na podłodze ze słomą, tylko na piętrowe łóżka. Ja przez kilka dni spałem na górze. Zbliżał się front nasz obóz został ewakuowany. Każdy z nas zabrał swój skromny dobytek w zagłówek opróżniony ze słomy. Z jakichś sznurków zrobiliśmy szelki, żeby umocować ten prymitywny plecak i ruszyliśmy w drogę „nach Breslau” Prowadzili nas uzbrojeni w karabinki wachmani. Starsze dziadki niezdolni do służby frontowej, niektórzy inwalidzi. Widać było, że ta robota wcale nie sprawia im przyjemności. Nie popędzali nas, nie krzyczeli, można powiedzieć, że zachowywali się w stosunku do nas poprawnie. Szliśmy w drewniakach. Leżący śnieg przyklejał się do podeszew drewniaków, tworzyły się grube twarde kule i nie można było iść, trzeba było bez przerwy oczyszczać spody drewniaków od przyklejającego się śniegu. Na najbliższym noclegu zabrałem jakieś sznurowane z chlewkami kobiece buty i wtedy już nie miałem z przyklejającym się śniegiem problemu. Podczas kilkudniowego marszu wszystkie wioski były już ewakuowane. Ludzi nie było. Zostały tylko zwierzęta. Na pierwszym noclegu w jakimś folwarku obora była pełna krów. Niemcy pozostawili kilka osób - polek. Kiedy poprosiliśmy o mleko - proszę bardzo możecie sobie wydoić ile chcecie. Kilkadziesiąt krów ryczało w oborze niedojonych. Na tym postoju zezwolono zabić nam jedną świnię. Byliśmy głodni. Pamiętam wiszącą na drzewie świnię, patroszoną przez jednego z naszych, z rozciętym, parującym na mrozie brzuchem, z którego wyrwałem kawałek jeszcze ciepłego sadła. Myślałem, że zjem nim dostaniemy jakiś posiłek z dopiero co zabijanej świni, ale nie zjadłem, takie to było obrzydliwe. Na następnych postojach było już dużo lepiej. Wchodziliśmy do opuszczonej przez miejscową ludność wioski. Często na ciepłej jeszcze kuchni zostały resztki ich jedzenia. W kurnikach pełno kur, królików, nie dojrane krowy, w stajniach konie. W piwnicach pełno weków z duszonym mięsem, z pasztetami. Stopniowo wymienialiśmy nasze ubrania, buty, środki lokomocji. Swój plecak zrobiony z zagłówka zamieniłem najpierw na małe sanki, później na wózek na 4 kołach z dyszlem. Załadowaliśmy na ten wózek pokaźny gąsior w koszu z jakimś alkoholem. Na postojach na nocleg w kilku ( w 2 - 3 osoby ) zajmowaliśmy jakąś wolny dom o rozpoczynaliśmy w nim urządowanie. Na jednym noclegu w drewni na pieńku siekierą poucinaliśmy łby kurom. Ja zrobiłem sobie kurę w potrawce: po oskubaniu i wypatroszeniu ugotowałem ją w małej ilości wody z przyprawami, potem po obraniu z kości mięso podduśiłem na tłuszczu z cebulą i miękkimi jarzynami s rosółu. A rosółkiem popiłem jedzenie. Pamiętam kuchnie były z duchówkami umieszczonymi w górnej części kuchni. 27 Stycznia 1945 r. wjeżdżaliśmy do Breslau. Nasza karawana nie przypominała już ewakuowanego obozu pracy. Niektórzy z naszych wjeżdżali saniami zaprzęgniętymi w konie. Miasto jeszcze nie wiedziało co to jest wojna. Jeszcze ani jeden pocisk nie spadł na to miasto ani jedna bomba. Nasi, którzy dobrze znali niemiecki zaraz weszli w porozumienie w piekarniach - sprzedawali nam

chleb bez kartek po nieco wyższych cenach. A w jakieś dużej masarni zakupili bardzo dużą ilość grubych, długich kiełbas, po które pojechaliśmy saniami zaprzężonymi w konia. Kiełbasy te przez dłuższy czas wisały za oknami naszych pokoi, w których początkowo zamieszkaliśmy. Po kilku dniach przenieśli nas z budynku na Markstrasse do jakiejś Szkoły Gospodarstwa dla dziewcząt. W szkole tej były piękne kuchnie, pralnie, prasownice, w których mogliśmy uprać, wygotować, uprasować nasze zawszone ubrania. W tej szkole był międzynarodowy obóz pracy dla obywateli różnych narodowości. Byli tam Polacy, Czesi, Francuzi, Włosi, Rosjanie, Ukraińcy, Serbowie. Była też w tej szkole piękna sala koncertowa ze sceną, na której stały dwa fortepiany. Naszym nowym Komendantem Obozu został komendant obozu dla kobiet, który swój obóz z kobietami doprowadził przed nadchodzącym frontem do Breslau. Kochanką tego komendanta była Polka - piękna kobieta. Ten nasz komendant był człowiekiem bardzo rozrywkowym, z tych co lubią kobiety, wino i śpiew. W pierwszych dniach zaraz zorganizował wielki koncert. W koncercie tym wzięli udział przedstawiciele różnych narodów: Ze strony Polskiej wystąpił jakiś pianista, 2 Niemki w kostiumach kąpielowych tańczyły jakiś balet klasyczny, Francuzi mieli świetny zespół muzyczny - wokalny, a największą owacje wzbudzał ich śpiewak Tino Rosi, (który jeszcze długo po wojnie był bardzo popularny w całej Europie). Do dziś pamiętam śpiewaną przez całą salę, razem z Tino Rosim, popularną piosenkę: Gdy po ćwiczeniach wolny mamy czas. Francuzi tę piosenkę śpiewali w trochę żywszym rytmie niż my w Polsce. Tino Rosiego Niemcy, bardzo często używali jako „wabia”, kiedy mieli kłopoty z kompletowaniem komand do pracy na terenach miasta i do pracy na przedpolach frontu. Stawiali na placu koło bramy dużą skrzynię, na skrzyni Tina i kazali mu śpiewać. Kiedy ludzie poschodzili się, żeby posłuchać jak Tino śpiewa, zagarniali ludzi do roboty, te pierwsze, beztrudne dni szybko minęły.

10.02.1945R. Pierścień wojsk Radzieckich otoczył miasto i rozpoczęło się oblężenie. Miasto, które nie wiedziało co to wojna zamieniło się w twierdzę „Festung Breslau”. Rosjanie systematycznie dom za domem, ulica za ulicą, dzielnica za dzielnicą niszczyli miasto żeby złamać obronę przeciwnika. Komanda, które wychodziły do pracy na miasto i do prac na przedpolach frontu wracały w niepełnym składzie, często przynosili rannych. W piwnicach naszej szkoły zorganizowano szpital, który bardzo szybko zapełniał się rannymi. W pierwszym okresie chętnie chodziłem do pracy przy przewożeniu słodkości, herbatników, różnych ciasteczek ze zniszczonych przez pociski lub bomby sklepów do magazynów. Lub ze zniszczonych magazynów do innych na razie jeszcze ocalałych. W Breslau była duża firma cukiernicza, taka jak w Warszawie Wedel, która miała dużo sklepów, różnych filii nazywała „Pool”. Jeździliśmy po Breslau i przewożiliśmy te słodkości można się przy tym było porządnie objeść tymi słodyczami. Często w drodze zaczynały wyc syreny, ogłaszano alarm lotniczy, wtedy wszystkie samochody nagle zatrzymywały się i wszyscy biegiem uciekali do schronów i wychodzili z nich dopiero po sygnale o odwołaniu alarmu. My z Warszawy, którzy, przeszliśmy oblężenie w 1939 r. później bombardowania Warszawy przez samoloty rosyjskie w czasie okupacji, piekło powstania Warszawskiego, nie byliśmy tacy strachliwi. Zostawaliśmy często na zewnątrz, często przy samochodzie. Początkowo syreny wyły nawet, kiedy samoloty leciały albo jeszcze daleko, albo przelatywały całkiem bokiem. Ponieważ do końca stycznia prawie nie wiedzieli co to wojna. Pierwsze pociski, pierwsze bomby i te gruzi, to był dla nich wielki szok. **Muszę przyznać, radowało mnie to ich przerażenie, za to wszystko co nam zgotowali ci nadludzie. Ich strach i przerażenie były całkiem ludzkie. Na własnej skórze mogli się przekonać, że nie powinno się czynić drugiemu tego, co i dla nich jest nie miłe.** Każdy z nas kombinował, żeby nie wyjść do pracy. Początkowo, próbowałem chować się po różnych kryjówkach. Wreszcie poszedłem do lekarza Bułgara, i zacząłem symulować, że mam chore nerki. Dlaczego to mi akurat przyszło do głowy sam dzisiaj nie wiem ale tak sobie myślałem, że muszę podać jakąś chorobę, której nie będzie mógł szybko poznać. Miałem dużo szczęścia, bo ten lekarz - Bułgar dał mi skierowanie do lekkiej pracy na terenie naszego obozu. Jeszcze z jednym młodemu nosiliśmy wiadrami węgiel do kuchni obozowych. Ale zbyt długo to nie trwało. Niemcy wszystkich rzekomo chorych i chorych zebrali i zawieźli do specjalnego obozu na przedpolach frontu. Były to jakieś stare baraki tuż za nimi stała bateria dział ostrzeliwująca bez przerwy nad naszymi głowami pozycję wojsk Radzieckich. Tamci z kolei ostrzeliwali Niemców. Kiedy nocą jak się uciszyło, to przez silne gigantofony Rosjanie bardzo głośno, w języku niemieckim wzywali żołnierzy niemieckich, żeby poddali się, że wojska niemieckie już są rozbite, ich walka jest daremna, jak się poddadzą będą dobrze traktowani. W tym pod obozie dla chorych praktycznie nic nie robiliśmy, ale też przez kilka dni nie dostawaliśmy żadnego jedzenia ani picia. Były w barakach łóżka piętrowe z materacami ale nie można było w nich spać, bo było tam bardzo dużo pluskiew, że nawet kiedy próbowaliśmy spać na drzwiach szaf ubraniowych położonych na dwóch taboretach. Każda noga taboretu wstawiona była do puszek po konserwach z wodą. Nawet i to nie pomagało, bo pluskwy potrafiły spadać z sufitu na nas, często bezpośrednio na nasze twarze. Całe szczęście, że nie trwało to długo bo po jakimś czasie zabrano nas z powrotem do naszej szkoły. A tam z tym zaświadczeniem od tego lekarza Bułgara, skierowano mnie do lekkiej pracy

na kuchni, ale do kuchni „super”, jak teraz mówią moje wnuczki. Do kuchni, w której gotowano tylko mięso dodawane w innych kuchniach do zup. Codziennie rano, pobrane z magazynu mięso gotowało się i kroilo. Pokrojone mięso i rosół, roznoszone było do poszczególnych kuchni i dodawane do zup gotowanych w tych kuchniach. Dobrze tam miałem życie. Ale jak to w życiu bywa nic nie trwa wiecznie. Rosjanie pomimo apeli do Niemców, żeby się poddali nie uzyskawszy nic, tłukli systematycznie dzielnicę za dzielnicą. Każdego dnia w czasie nalotów bomby wybuchały coraz bliżej naszej szkoły. Poprzedniego dnia bomby zburzyły magazyn, w którym zakwaterowani byli Włosi. Było wiele trupów i rannych. Trupy układaliśmy początkowo w takiej szopie na dużym podwórzu naszej szkoły, ale szybko się zapełniła i musieliśmy układać je na tym dużym podwórzu (boisku). Ułożone były dwa długie rzędy, a kiedy na podwórzu nie było już miejsca, zaczęto układać w bramie. Kiedy w nocy musiałem iść do wychodka, który zrobiony był na podwórzu, ( bo nie było już wody ) to musiałem dobrze uważać, żeby idąc nie deptać po trupach, tyle już ich leżało w bramie. Na drugi dzień nadleciały samoloty i 2 bomby lotnicze, ugodziły w prawe skrzydło naszej pięknej szkoły na wysokości drugiego i pierwszego piętra w miejsca. Na parterze mieszkał personel medyczny: pielęgniarki i lekarze. Stropy z dwóch pięter runęły na pomieszczenia, których mieszkali. Nawet nie było co ratować spod zwałowiska stropów sterczały tylko dwie kobiece w bucikach stopy. W chwili kiedy te bomby uderzyły stałem w drzwiach naszej kuchni (kuchnia była na parterze budynku) gdy uderzył mnie podmuch pełen pyłu z tynków powietrza pomyślałem, że powinienem biec w kierunku gdzie przed chwilą uderzyły te bomby, bo następne już w to samo miejsce nie uderzą. Na drugi dzień przeniesiono nasz obóz do obozu na Burgweide. Przechodziliśmy przez zasypane gruzami ulice Breslau. Gruzów było tyle, że nawet samym środkiem ulicy trudno było przejść. Wyszliśmy wcześniej rano, bo ruscy dopiero po 9:00 Rozpoczynali na dobre ostrzał i bombardowanie. Szczególnie niebezpieczne podobno było przejście przez wiszący most Kaizerbrike. Bo tam dużo jest otwartej przestrzeni i często samoloty ostrzeliwały go z broni pokładowej, jeżeli zauważyli większy ruch na tym moście. Jeszcze ze dwa razy chodziłem do naszej zbombardowanej szkoły, bo zabieraliśmy resztę prowiantu i jakieś wyposażenie, a ja przy okazji chciałem sobie dobrać parę gumowych czarnych butów, w których paradowali Włosi i Francuzi, a mnie się b. podobały i marzyłem żeby je zdobyć. Kiedy je już sobie dobrałem i zacząłem w nich chodzić, to okazało się, że nie są wcale, ani dobre, ani praktyczne. Jest w nich zimno i noga się poci. W nowym obozie na Burgweide. Też zostałem przydzielony do kuchni, ale tu gotowałem w dużym kotle zupę dla wszystkich. Kocioł miałem gorszy w porównaniu do innych kucharzy bo węglowy wszyscy inni mieli kotły parowe. W nich się zupa nie przypalała, a ja musiałem bez przerwy mieszać. Ponieważ byłem mały a kocioł był pojemności chyba 250 albo nawet 300 litrów musiałem sobie postawić koło niego dość dużą skrzynię i dopiero jak na nią wszedłem, mogłem swobodnie swoim wiosłem (warząchwią) mieszać w kotle. Jako ciekawostkę dodam, nie chwaląc się, że ci co gotowali na kotłach parowych wcześniej rozpoczynali wydawanie zupy a mimo to przy moim kotle ustawiała się kolejka i czekali, aż skończę i ja zacznę wydawać, nie wiem dlaczego, ale myślę, że moja zupa im pewnie lepiej smakowała. Nad naszym teraz obozem na Burgweide, też często przelatywały samoloty. Raz jeden z nich zrzucił bombę na teren naszego obozu Trafił w jeden barak, ale ponieważ było to w dzień i wszyscy z tego baraku byli w pracy pozostał tylko potężny lej, rumowiskiem belek, desek i porozrzucanych szmat. Niewielu ludzi ucierpiało, a patrząc na głębokość i średnicę leju była to chyba "500-ka" (kg) Natomiast b. groźnie skończył się drobny wydałoby się wypadek. Mój kolega, z którym rozpocząłem pracę na kuchni, razem nosiliśmy węgiel. Poszedł do wychodka na terenie naszego obozu. Jakiś zabłąkany pocisk rozerwał się w pobliżu, nawet nie uderzył bezpośrednio w ten wychodek, tylko odłamki posiekały drzwi. I dosłownie w ostatnich dniach kwietnia w naszym lazarecie amputowali mu stopę i przynajmniej ze 20 cm, goleni. Dosłownie na kilka dni przed kapitulacją.

6.05.1945r Wraz z kapitulacją Niemiec skapitulowała Festung Breslau. Wyswobodzili nas Rosjanie. Nie obyło się bez gwałtów, rabunków, pijaństwa. Nie tylko Niemcy byli narażeni na to. I nasze dziewczyny drżały i chowały się po specjalnych skrytkach wybudowanych w naszych barakach. My też przez kilka dni włóczyliśmy się po niemieckich koszarach, magazynach, sklepach, opuszczonych domach i mieszkaniach. Nowe władze namawiały nas, żebyśmy wstąpili do milicji. Ale każdego ciągnęło do domu, do Warszawy, spotkać się z rodziną. Każdy z nas wziął, dosłownie byle co. Jeden z naszych kolegów ubrał się tylko w ładny garnitur, zabrał do ładnej walizki wielką kostkę smalcu i pojechał do Łodzi.

## Po wojnie

13.05.1945r. Ja z kolegą znaleźliśmy rower z przyczepką, załadowaliśmy ją naszym bagażem i ruszyliśmy do Kępna, bo z Kępna odjeżdżały pierwsze pociągi. Od Komendanta Wojennego dostaliśmy „bumażkę”, że wracamy z obozu i władze wojskowe mają dołożyć starań byśmy bez przeszkód dotarli do domu. W Kępnie sprzedaliśmy rower z przyczepką zabraliśmy nasze bagaże, podzieliliśmy się pieniędzmi.

Pożegnaliśmy i każdy pojechał w swoje strony. Ja pojechałem towarowym odkrytym wagonem na Częstochowę i Kielce do Lelowa, mając nadzieję, że spotkam się albo może dowiem się czegoś o mojej rodzinie.

18.03.2010 08:42:03 Fragment Pamiętnika dla E. Steinbach. HR